

Zdzisław Rachtan

część III z IV

Sygnatura notacji: **N0260**

Data urodzenia: **09.03.1924 r.**

Data nagrania: **2008 r.**

Miejsce nagrania: **dom świadka, Polska**

Prowadzący rozmowę: **Piotr Rachtan**

Czas nagrania: **część I: 62 min, część II: 60 min, część III: 57 min,**

Format nagrania: **video**

część IV: 32 min

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Zdzisław Rachtan: Że tam idziemy do niego, ten nas puścił, ten przewodnik, i, nie wiem, jak duch zniknął w ogóle. On pewnie szedł i bał się, że idzie z nami. I tam coś jeszcze wspominamy, że jest matka. A on mówi: „Wiesz, »Halny«, starą też załatwimy”. A tak płynnie. „Starą, wiesz, też załatwimy”. Ja mówię, jak to, przecież nie ma wyroku, bo przecież jest powiedziane, że tylko jego. „Halny, ty kota na piecu zabij, żeby świadka nie było”. I tak sobie myślę, no taki typ. No bo on siedział za jakieś tam duże... bo taki z wieloletnim wyrokiem, podobno, jak potem dowiedzieliśmy się. I wchodzimy do tego po tych schodach, On został na dole, a ja sam wszedłem. Szczerze, bo ja się bałem, że przecież on wejdzie, zacznie strzelać. Ale jest matka, no staruszka, taka, jak to się mówi, typowa staruszka. Ale tak... No ja mówię, że... Już nie pamiętam, jak on się nazywał. I imienia też nie pamiętałem. Tam się, ten... „A – mówił – wie pan, nie, on poszedł do tego... A umówiliście się?”. Ja mówię: „Nie, nie umawialiśmy się. Tak jesteśmy tam i chciałem, żeby on też tam do nas dołączył”. „No nie ma go”, mówi. „Mały, zawsze wiem, gdzie on jest, a teraz mi nie powiedział, gdzie jest, u którego jest znowóż tam chłopaków”. No to ja mówię, no to... „Ale panie, on zawsze chodzi do kościoła. To na pewno musi przyjść przecież”. No ja mówię: „No tak. To niech mu pani powie”... Tam wymieniliśmy, że Józek był... Już nie pamiętam... No i zszedłem, i, cholera, zgłupiałem, no. Nie ma go, czy przyjdzie, stać tam nie można, siedzieć nie można. Bo może nie przyjdzie. Bo, matka mówi, on czasem na noc nie przychodzi. „Pan wie, jak to jest z chłopakami”. A ja mówię, no wiem, bo sam jestem chłopakiem. No i taka króciusia rozmowa, ale sympatyczna, taka czysta staruszka. Schodzę, a po drodze to... Nie, po drodze ten nam mówił: „Jakbyście go nie zastali, to ja was jutro zaprowadzę do kościoła, bo on zawsze chodzi tam, jakoś o dziesiątej rano, to on zawsze tam jest, bo on bardzo tam”... No więc teraz tak, wróciliśmy, łącznika nie mamy, drogę to naturalnie pamiętam, jak żeśmy szli, wprowadzić z łącznikiem, z kwatery swojej, no ale się zapamiętało na powrót, żeby samemu wracać. Ale tak wracamy, co zrobić?

Nie wypada wrócić, że go nie ma. A jak go można by przyłapać przed kościołem, to inaczej. No i co zrobić, trzeba się przenocować. Poszliśmy na cmentarz, na cmentarzu przedrzemaliśmy do rana, potem się jakoś tak ogarnęliśmy trochę, że my jesteśmy obydwaj po cywilnemu, wyglądamy jak robotnicy przecież, jacyś tam, ten jest starszy dużo ode mnie, tak około trzydziestu chyba lat, no ale ja mam dwadzieścia. No i przychodzimy do kościoła, bośmy się przedtem z tym umówili, gdyby się nie udało. Spotykamy się z tym człowiekiem przed kościołem, on przychodzi rzeczywiście, ten łącznik, który nas podprowadził, on mówi: „Nie widziałem go jeszcze”. Odszedł on potem od nas i był tam... „Ja go was wystawię, bo my się dobrze znamy”. Żółtoski... „Żółtek” się chyba... Ten właśnie, którego mieliśmy załatwić. Widzimy, jak on ma wyglądać, bo ja do niego powiem... przywitam się, no to już myślę, do nich tak podejść, żebym ja nie był spalony. No i stajemy w kościele, wśród ludzi, to w tym drewnianym kościółku. Przez chwilę wokół nas zrobiło się tak pusto. Myśmy śmierzili, musieli ogniem tym śmierzcie... Dwóch nieznanym. Bo ludzie się znają. Szczególnie w takim małym kościółku to chodzą wszyscy znający się ludzie. Dwóch wyglądających podejrzanie i do tego zdaje mi się, że chyba to od śmierzienia, że myśmy śmierzili, bo przecież od ogniska człowiek przyszedł. Wszystko jest przepocone, prze... tego. Stoimy, znaczy załatwiamy to samo, że klękamy, ja na ten czas wyjmuję rękę zza pazuchy, bo tak prawie trzymam za... nie Stena, a...

Piotr Rachtan: Visa?

Zdzisław Rachtan: Visa „Szorta”, bo ja przecież nie miałem, to dostawałem zawsze, to mam tam obciążoną marynarkę, tak w kieszeni tam gdzieś ręką to trzymam, ale się żegnam, no klękamy, wstajemy, ale głupia sytuacja, bo ludzie są... o pół metra taka przestrzeń jest, za nami stoi dwóch. No ale tak każdy tam udaje się, że nic nie wie, że oni nie wiedzą pewnie, udają, że się nie... Ale potem jest koniec mszy, no to robi się tłum, to my też z tym razem już tłumem wysuwamy się, ten czeka, który nas... podchodzi tam, znów tak delikatnie, my tam nie robimy ostentacyjnie, żeby z nim rozmawiać. On mówi: „Nie ma go”. I co zrobić? No trzeba wracać. No i wróciliśmy do tego, bez łowów. A potem, jak wróciliśmy, bo to jest ciąg dalszy, jak wróciliśmy do obozu, to okazuje się, że on siedzi aresztowany. Bo on sam przyszedł do obozu, wtedy, kiedy nas... Myśmy tam u niego byli, to on był w obozie, bo to chłopak ze Skarżyska, znał się no i jak się zameldował tam, a widocznie „Nurt”, „Ponury” wiedział, miał może listę tych, których my mamy załatwiać czy coś, tak że go od razu skojarzył, bo on też przyszedł, nie wiedział, że go tam aresztują. On przyszedł i tam zameldowali go do... Bo myśmy przecież wyszli w ciągu dnia, że dopiero do wieczora siedzieliśmy na skraju lasu, żeby wyjść do tego, a on pewnie gdzieś inną drogą, przecież znał prawdopodobnie i się szykował na to, żeby przyjść. Zbieg okoliczności. I jak myśmy wrócili, to on był dalej jeszcze aresztowany. Jeszcze siedział jako aresztowany. Okazuje się, że jego nadal koledzy, bo tam jakąś dziewczynę im sprzątnął, znaczy zadał się z jakąś, i z jakiejś tam grupy nadano mu, dosyć wiarygodne podobno, oskarżenie wiarygodne i dostał, znów inni którzy takie sądzą. Nie wiem, kto sądził i jak sądził. I on parę dni siedział, myśmy się śmiali strasznie, kiedy go załatwimy z tym „Wielorybem”. A „Wieloryb” też miał być załatwiony, to też się dopiero potem dowiedziałem od „Szorta”. On poszedł ze mną, bo... dlaczego on poszedł? Bo on był rozpracowany już przez innych, którzy wiedzieli ze Skarżyska, że on jest bandzior po prostu, z jakiejś tam bandy. Z jakiejś tam wsi było wszystko określone. „Ponury” to kazał znów siatką sprawdzić, przyszły wiarygodne jakoś, tego, że to jest bandzior. Nie można go załatwić, bo jak? On był tak cwany, a ja dopiero potem skojarzyłem że on nigdy nie poszedł, żeby ktoś za nim szedł. Myśmy zawsze szli ostatni. A ja nie wiedziałem o tym, że ten Marian miał go załatwić. On go przydzielił do mnie i też nie miał okazji widocznie takiej,

żeby... A on nigdy nie odszedł i zawsze nie miał nikogo z tyłu za sobą. To potem skojarzyliśmy. Jak już jego nie było. Bo on przeżył, po wojnie był wielkim w UB... kapitanem był w Skarżysku czy coś. W UB. Bo on zwiął. On miał nosa prawdopodobnie i po całej tej już razem wróciliśmy, przy najbliższej takiej jakiejś sytuacji się oddalił. Był z bronią. Nie dałby się zaskoczyć żadnemu, jak... Wiesz, trzeba by jakoś robić... A widocznie chcieli tego uniknąć. Żeby tylko miał być... No zginął w akcji prawie. Wyszli na patrol i zginął. Tak jak zostali inni załatwieni. Takiego Gruzina „Kogut” załatwiał. Weszli na tego i wrócił za dwa dni: „No i, cholera, była potyczka w tego... popatrz, Ja wyszedłem, a ten zginął”. Później było już z rozkazu tych dwunastu Gruzinów, którzy przyszli z bronią za swoim dowódcą, „Kazbek” się miał ten... I wszyscy dali dyla. A ten został. Najfajniejszy taki. „Alosza”. „Alosza” był chłop. No a jak tam go rozpracowano, to była wtyka zostawiona u „Ponurego” w oddziale. Rozpracowali go widocznie. Bo oni wszyscy zwiiali, a on też miał... To dlaczego on nie odszedł, to... No znaczy miał tam jakieś, że on nie jest komunista.

Piotr Rachtan: Legendę jakąś.

Zdzisław Rachtan: Jakąś tam miał legendę, ale za parę dni był na patrolu z „Kogutem”. cholera. Co za pech. A wszyscy wiedzieli przecież. Nawet się mówiło, gdzie, jak. A inni radzieccy byli też u was?

Piotr Rachtan: Ci Gruzini?

Zdzisław Rachtan: No nie, ale inni radzieccy. Nie było u nas radzieckich. Nie było. Może potem jakoś się tam zaczęli pokazywać. No ale Żydzi byli na przykład. U „Dzika” był... „Adam”. Miał pseudonim „Adam”. „Adam” był kucharzem, świetnym podobno, a jest teraz w Australii i podobno pyskuje strasznie na... Mówi źle o tym, że on się ledwie przechowwał, że go ktoś tam przechowwał, i mówił, że Żydów strzelano. A u nas nie. Ja miałem takiego zaprzyjaźnionego Żyda, był u „Dzika”. To był szewc. Miał pseudonim „Mikołaj”. Długo z jego córką miałem korespondencję. Teraz ona nazywa się Kwiatkowska. Bo on się nazywał Kwiatkowski. Ona była mężatką, potem wróciła do swojego jakiegoś... Nauczycielka. On się ożenił. Bardzo fajny chłopak, „Mikołaj”. Bardzośmy się przyjaźnili. Może dlatego, że ja zębami ciągle sobie z butami coś robił. Żyd ze Skarżyska, szewc. Wszyscy wiedzieli, że on Żyd jest. No to co? Mówił normalnie po polsku, bo był bez takiej żydowszczyzny, to nie był taki, co to... Bo takich to oni chyba się bali, że oni się nas też bali. Ale u nas nie było żadnego antyżydowskiego, antyradzieckiego. Nawet jak ci Gruzini prysnęli, to nie było nawet powiedziane, żeby coś, gdzie jakby się spotkało, to w łeb. Tak jakoś. A oni przecież jeszcze za „Ponurego”. Czy może się odmeldowali u „Ponurego”. Wiesz, to byli prawdziwi żołnierze. Uzbrojeni. I może „Ponury” powiedział... Tego nikt nie wie. Wyszli, utworzyli osobną drużynę, taką... Byli u Jurka. A przedostatnią noc spędziliśmy w takiej wsi, to się nazywa Kąty, to jest Psary, taka... Kąty, i muszę powiedzieć, tam dopiero stwierdziliśmy, że właściwie prawie wszyscy mamy szkorbut. Przyszliśmy na noc, to już jest pasmo, właśnie jedno z pasm, Gór Świętokrzyskich. To jest pasmo klonowskie, Klonowa, no i pod taką górą jest wieś, i tam spędziliśmy przedostatnią noc, I rano dostaliśmy do jedzenia przez gospodarzy, była nas grupa jeszcze wtedy około trzydziestu ludzi, bo dopiero potem stamtąd, schodząc z tej góry, rozczłonkowaliśmy się na poszczególne grupki takie, które kierował już opisami swoimi „Dzik”, porucznik „Dzik”. Tam stwierdziliśmy, że mamy wszyscy szkorbut, bo nam się wszystkie zęby ruszały. To stwierdziliśmy... Bo dostaliśmy chleb, który z trudem... I każdy czuł, jak je, że zęby są nie w porządku. I mieliśmy nagotowaną taką zupę na owocach. Bo wieś, w owym czasie była chyba bardzo biedna, bo oni to nazywali gar... Jakoś. Na różnych

owocach nagotowany taki jak gdyby barszcz. To było nasze pierwsze od paru dni jedzenie. No ale podżywieni tym, przez czekanie przez cały dzień w tych chałupach, więc dostaliśmy i obiad, i jakieś tam coś jeszcze, i znów, późnym wieczorem, kiedy już się zrobiło ciemno... To jest wieś blisko Bodzentyna, nie wiemy jak jest w Bodzentynie, chociaż to jest o jakieś 5 kilometrów, może 4 kilometry, od Bodzentyna, więc niby ci ludzie wiedzą, że raczej Niemców w samym Bodzentynie nie ma. I wychodzimy na następną tę noc, rozchodzimy się grupami, po drodze gubimy poszczególnych ludzi, którym „Dzik” wskazał wieś, do której się tam mają udać, do kogo się zgłosić. My zostawiamy potem już „Dzika” i okazuje się, że „Poraj”, czyli Witebski, czyli podchorąży nasz prowadzi nas do miejsca swojego zamieszkania tymczasowego, okupacyjnego w Pawłowie. Natomiast to Pawłowa też... to jest wieś gminna, duża, też niby ludzie mówią, że tam są Niemcy, inni mówią, że nie ma Niemców, no więc idziemy do takiej wsi właśnie, Rzepin, do gospodarzy bardzo zaprzyjaźnionych z „Porajem” i ci nas tak serdecznie przyjmują, że aż dziw. Chociaż wiadomo, że przecież jesteśmy na zapleczu frontu i może być coś nie tak. Biorą od nas broń długą, wszystkie karabiny i „Bata” RKM, wszystko zabierają, ponieważ ten...

Piotr Rachtan: Walkiewicz.

Zdzisław Rachtan: Walkiewicz. Walkiewicz to jest dawnym żołnierzem Wojska Polskiego, w randze kaprała, w związku z tym taki jest bardzo obeznany ze wszystkim, mają jak gdyby przygotowane miejsce na broń, na schron z bronią, który mają przygotowany pod wiejską drogą, która prowadzi od wsi do wsi, mało uczęszczana, bo taka lokalna, i pod tym mają ogromny wykopany schron, bo to jest ziemia taka dosyć gliniasta, więc tam jest taki wyrębany, i tam podobno... znaczy podobno, bo my jesteśmy wszyscy właściwie tak zmęczeni, że walimy się w tej chałupie po wszystkich... tam dwa pokoje były, więc walimy się na ziemię. On naturalnie wysłał swoją córkę do Pawłowa, to jest odległość jakichś 4 kilometrów do tego domu, gdzie matka „Poraja” jest z siostrą, do tego mieszkania, żeby powiedzieć, że właśnie jest syn i goście są inni. Bo to mówię tak szczegółowo, bo właśnie na ten temat nigdy nie opowiadam. Trochę tacy rozbrojeni czujemy się niepewnie. Ja w każdym razie zatrzymuję MP niemieckie z magazynkami, zatrzymuję swoje Parabellum i zostajemy. Rano właśnie zgłasza się, znaczy wpada do tej chałupy, gdzieśmy byli w Rzepinie, siostra „Poraja”, Krystyna, jak mówię, ze chrztu, a ponieważ jest łączniczką miejscowej starachowickiej konspiracji, jako że ten Pawłów leżał jakieś 10 kilometrów chyba od Starachowic, więc ona jest łączniczką pod obwodem, który się nazywa... Nie pamiętam już jak się nazywa, pod obwód Starachowice, z komendą okręgu radomsko-kieleckiego, jest łączniczką i ma pseudonim „Justyna”, więc jest bardzo obeznana. I to jest dziewczyna chyba po pierwszym roku liceum w Toruniu. No więc ona z tym bratem się cieszy, nas wita, my jesteśmy z „Kaktusem”, czyli moim bratem, pozostają jeszcze do dyspozycji „Drzewicz”, „Dziad Leśny”, „Jędrek”, „Mietek”... Pozostaje nas chyba ośmiu, czyli my we trzech trafiamy do tej chałupy, a tę piątkę Krystyna, siostra Witebskiego, czyli „Poraja”, rozprowadza, znaczy kieruje ich do wsi. My przeczekujemy znów cały dzień u tego Walkiewicza i wieczorem wiemy tylko, że są Niemcy w gminie, są urzędnicy niemieccy, to znaczy tacy, którzy tam kierują tymi kontyngentami, które, powiedzmy, pilnują tej całej gminy pawłowskiej żeby się wywiązywała z narzuconych kontyngentów. A tak wojska nie ma, tylko jest dwóch czy trzech tych cywilnych, starszych panów, bo to już jest Volkssturm chyba, chociaż nie w mundurze chodzą, a tak to wojska nie ma. Przejeżdżają tylko przez ten Pawłów. od Słupi ciągnąc, bo tam jest sam front. I zostajemy, to jest druga połowa listopada, już nie pamiętam, 15 czy 16 listopada, tamci są rozprowadzeni, a zostaje „Kaktus”, „Kaktusa” ściga do tego i idzie do Starachowic, do naszego domu rodzinnego, z którego wyszedł w sierpniu i przyszedł do nas,

do zgrupowań partyzanckich. Tak że jemu najłatwiej, bo tylko tam go nie było tych parę miesięcy, ja zostaję, jako że jestem już notowany, bo jeszcze służba policyjna niemiecka w Starachowicach jest, jest żandarmeria i są pewnie i inne tam administracyjne odłamy okupanta, ponieważ ja dwa lata wcześniej siedziałem w więzieniu w Kielcach, nie byłem wypuszczony za duże pieniądze, ale byłem notowany i od razu po wyjściu z więzienia, w 1942 roku, poszedłem, jak to się mówi, do lasu. Tak że nie mogłem wrócić do Starachowic z uwagi na to, że tam mógł mnie ktoś zauważyć. I pozostaję w tym... Może to skrócić, bo to już jest bardzo cywilne opowiadanie. Broń mamy zamelinowaną z „Porajem” w takiej piwniczce wykopanej też... Tam jest też ten grunt taki, powiedziałbym, nie gliniasty, ale taki lesisty, bo tak sięga po brzeże Sandomierszczyzny, które na takich glebach jakichś jest, tamte wzgórza Gór Pieprzowych, jak się to nazywa, też oni mają ciągle różne lochy takie. Tu „Poraj” też miał swój taki loszek poza chałupą, w takim malutkim wzgórzu, zboczu, gdzie trzymane były ziemniaki, węgiel, prawda, bo to jest takie trochę chronione. I tam sobie melinujemy swoją broń osobistą i pozostajemy. Naturalnie następuje odwszenie, jeszcze wtedy, kiedy jest nas prawie ósemka, w tejże chałupie, wodę tam w kociołkach grzeją, jakaś balia, w komorze takiej robimy rozbiórkę, smarowanie się naftą, jesteśmy wszyscy zawszeni. Po kolei. Śmiesznie, bo ja zdejmuję zegarek i pod zegarkiem też miałem wszy. Więc nawet z tego trochę zarówno matka „Poraja”, jak i siostry pękają ze śmiechu, bo my pokazujemy przed rozebraniem się, gdzie jeszcze te wszy tam. Smarujemy się naftą i jakimiś innymi tam paskudztwami, dostajemy trochę bielizny nowej, bo bielizna jest jeszcze i ojca Krystyny, no i brata przecież jest tego, więc jakoś nas tam w czysto... a wszystko inne wrzucone jest na klepisko w tej komorze i śmiejemy się, że wszy przenoszą się razem z odzieżą parę metrów dalej na drugi dzień, że tyle ich każdy miał w odzieniu. Ale to już są... Jesteśmy tak ciągle skupieni, bo nie wiemy, co z nami będzie dalej, i tak trwamy przez parę dni, na razie się nikt nami nie interesuje poza rodziną „Poraja”, która nas żywi. „Kartus” poszedł, tamci koledzy zostali rozmelinowani w sąsiednich wsiach, ta cała właściwie piątka, i zostajemy. Krystyna w związku z tym, że jak każdy musiał pracować, jest zatrudniona w tej gminie, jest jakąś tam pisarką czy coś, żeby mieć kenkartę, więc utrzymuje ten kontakt, wiadomo, że tam są Niemcy, i ci z opowiadaniem jej wiedzą, że tutaj się dzieje, że tu przyszli ci, ale ich to nie interesuje. Wyraźnie okazują swoje „désintéressement”, żeby opowiadająca czy mówiąca byli spokojni, że ich to nie interesuje, a uszami strzygą, bo też są ciekawi. To są jakiegoś tacy przyzwoici dwaj Niemcy, którzy nawet pomagali w ten sposób, że „Kaktusa” wzięli w swoją... Bo oni mieli konie i pojazd taki, i go zawieźli do Starachowic. Bo coś tam, jakaś bajeczka była usnuta, że on tam skądś wrócił no i ponieważ to był kuzyn Krystyny, więc go wsadzili i obydwaj pojechali do Starachowic, tak że go nawet podwieźli, jak to się mówi, prawie pod dom, co nam się wydawało bardzo komiczne. No i tak to trwamy. Potem, po jakichś trzech tygodniach, mamy pierwszy kontakt z „Dzikiem”, który przysyła do nas łącznika do tej kwatery, gdzie jesteśmy. I idziemy z... nie, ja sam idę, z tym łącznikiem do Bozentyna, gdzie kwatruje „Dzik”, skąd pochodzi, ma całą rodzinę tam, więc czuje się dobrze. Tam jest posterunek policji granatowej, taką ma nazwę, „policja polska”, która... pod karą śmierci musieli się wszyscy w 1939 roku zgłaszać do policji i pełnić tam tę służbę, ale to są, jak to się mówi, swoi ludzie. No i okazuje się, że to „Dzik” dostał znów przez łącznika od „Nurta”, znów przez jakiegoś łącznika tam spod Włoszczowej, już nie pamiętam, ileś tam dolarów, na tę grupę, którą on zebrał, bo to była tak zwana odprawa, którą dostaliśmy. Dostaliśmy, nie pamiętam, tu mógłbym przesadzić, nie pamiętam, ale czy 10, czy 5 dolarów na każdego, nie pamiętam. To mogę zapomnieć, a nie chciałbym przesadzać, bo albo za mało powiem, albo za dużo, ale kilkanaście dolarów, co było jakoś dużymi pieniędzmi, tamte dolary były w bardzo wysokiej cenie, i to była taka ta odprawa, z którymi, jak to się mówi, dowództwo pożegnało się, z żołnierzami swoimi. No a oni byli pewnie rozdzielani znów tam przez kogoś, na cały nasz pułk, drugi, i na poszczególne bataliony, roznoszą te marne pieniądze. I to było

wszystko, co dostaliśmy. Dostaliśmy jeszcze 100 kilogramów cukru i takie wielkie jakieś... już nie pamiętam, to było... Karbidu. Karbid to był taki materiał stały, który w kostkach był używany do oświetlenia. To znaczy zalewane było wodą, wytwarzał się gaz, podpalane, takie specjalne były lampki do tego robione i tak Niemcy się wyposażyli w takie karbidówki tak zwane. Śmierdzący materiał, kopący, no ale... I myśmy sprzedali to... A, jeszcze przyprowadziliśmy ze sobą konia „Szorta”, który mówi: „Weźcie go, bo już ja nie będę...”, bo „Szort” poszedł z „Nurtem”, a myśmy tego konia przyprowadzili. I tego konia sprzedaliśmy... to znaczy ktoś tam, wzięła taka spółdzielnia. Przepraszam. Za tego konia myśmy dostali 100 kilogramów cukru. i też chyba drugie 100 kilogramów tego karbidu, który był na wsi bardzo cenny, bo był do palenia. Nafty nie było przecież prawie. I ten cukier został znów podzielony później, jak przywieźli nam z tej spółdzielni w Starachowicach, która wzięła konia i za to dała nam ten te dwie rzeczy, cukier i karbid, musieliśmy rozdzielić na nas dziesięciu, bo nas dziesięciu. Na tych, co byli rozmieszczeni, więc oni tam przychodzili, dostawali, tam Krystyna to rozważała i każdy dostał po te dziesięć czy ileś kilo cukru i tego karbidu, którym znów zapłacili, jak gdyby, powiedzmy, na kwaterze, gdzie ich tam przyjmowano, nocowano i żywiono. I to było takie, powiedzmy... taka samopomoc omalże. I to było właściwie wszystko, co organizacyjnie otrzymywaliśmy. Poza tym więcej kontaktów nie mieliśmy żadnych. No a tu front ciągle, że tak powiem, dawał znać, słychać było ciągle chwilami huraganowy ogień, jak się tam okładano prawdopodobnie, ja nie wiem jak to było, czy poprzez góry strzelano, poprzez te pasma do siebie, czy poszczególne wypadły jakieś były, samego frontu nie... wiemy, że był to... No teraz moja osobista sprawa to jest... Naturalnie, jak w takich przypadkach, musiało się to zdarzyć, znaczy nie mogło, ale właśnie zdarzyło się, że była ta siostra „Poraja”, Krystyna, równym prawie wiekiem byliśmy do siebie, no i postanowiliśmy właściwie się pobrać, a tu jeszcze jest okupacja. I 13 stycznia, w niecałe dwa miesiące, padła decyzja i realizacja, i 13 stycznia zawarliśmy ślub. Ja miałem dokumenty, lewe, nazywałem się Drzazga, no więc te lewe dokumenty... ponieważ to jeszcze obowiązywało w kościele, że zapowiedzi, więc zostaliśmy... mama, czyli matka Krystyny, dla mnie też matka, pojechała do biskupa ordynariusza sandomierskiego, który z Sandomierza był wycofany i mieścił się w takiej wsi, która się... też taka duża wieś, pół-miasteczko takie, Waśniów, tamten biskup, a to kuria biskupia sandomierska była przeniesiona, czyli była po tej stronie frontu, no i musiała od biskupa dostać zgodę, ponieważ nie miałem 21 lat, więc musiała być zgoda biskupa na to, żeby był zawarty ślub i żeby nie były czytane zapowiedzi w kościele, bo jestem ukrywający się, tak to powiedziano. I tak to się wszystko odbyło, Drzazga się pograła z Witebską, ona: „Jaskier”, ja: „Halny”, ślub skromny, nikogo przecież nie było, tego 13 stycznia... nie, było trzech tych naszych kolegów, którzy gdzieś tam w sąsiednich wsiach mieli swoje kwatery, no i to był tak zwany orszak ślubny. Ślub był w kościółku Chybice, taka dosyć zamożna wieś, z mleczarnią i z bardzo sympatycznym starym kościółkiem, i tam zawaliśmy ten ślub. No i doczekaliśmy się wyzwolenia, bo 17 stycznia, więc 4 dni później, front pękł i rano ukazali się, bo to też w nocy tam się, widać, przedzierali i raptem 17 stycznia, pokazali się Rosjanie. Niemcy wycofywali się w takim porządku, że widzieliśmy tylko, że się wycofują, bo jechały ich te podwody jakieś, bo nie ciężka broń, nie żadne czołgi, w tym fragmencie frontu, tylko jechali na podwodach te ich takie samochodziki, powiedzmy, terenowe, i wycofywali się, rzeczywiście widać było, że się wycofują, bo szli już ciągle, przez parę godzin 17-go szli Niemcy przez wieś Pawłów, szli w kierunku na Starachowice, na Bodzentyn, tak widać było, że się rozchodzą. Szli w ogromnym porządku i muszę powiedzieć, nie czynili nikomu nic złego. Wpadali tylko niektórzy do napicia się i po paru godzinach, kiedy tu się zrobiła cisza, zaczęli iść Rosjanie, którzy o dziwo, patrzyliśmy... Przecież ta część Polski to nie znała ich, skromniej bardzo ubrani niż Niemcy, no ale ubrani, w obuwiu, z karabinami, ale w ogóle tak jakby szli, jakby to szli... Zorganizowanych grup nie widzieliśmy, żeby przejechali na pojazdach swoich, jakichś me-

chanicznych, bo to pewnie pękł w tym momencie front a w innym jeszcze inaczej, gdzieś się przesuwają te większe siły rosyjskie, bo przecież to był taki przesuwający się front na zachód. No więc przyjęliśmy tych Rosjan, którzy zachowywali się też... Bo to był frontowy żołnierz, marnie też odżywiany pewnie, przyjmowali wszędzie do chałup, wchodzili, to prosili o chleb, mleko i do picia, i pytali się tylko o kierunek, gdzie jest Berlin. I to pokazywali wszyscy, bo to już tak się stało, bo potem przez parę dni tak to się wlokło, tak jakby takie zaplecze, tacy zgubieni ze swoich jednostek. Ale nigdzie nie słyszeliśmy o tym, żeby coś tam się działo. W każdym razie było bardzo źle i dziwiło nas, jak mógł być ten front... Niemcy tak wyjeżdżali w porządku, a ci szli prawie pojedynczo miedzami, drózkami, i tylko ci szli na zachód. No i front się przesunął dalej, i już wkroczyła za tym władza, władza z Chełma Lubelskiego, już był ten Komitet Ocalenia Narodo...

Piotr Rachtan: Piotr Rachtan: Tak się nazywał ten...

Zdzisław Rachtan: PKWN. Polski... Tak, tak, PKWN. PKWN, już z afiszami, już w gminie rozwieszane... tego, już chodzą po chałupach, żeby przychodzić tam i się zapisywać. No ale to tak w ciągu parę dni, niewiele wytrzymałyśmy z „Porajem”, czyli ze Zdziśkiem, do 2 lutego, bo 2 lutego wpadł do tej chałupy z pobliskich Starachowic, o których mówiłem, to już jest miasto, łącznik, znaczy jeden z naszych kolegów, który był ze zwiadu konnego, który odszedł poprzednio z „Dzikim”, też przyszedł, ale poszedł sobie odrębnie, to był kawalerzysta, miał pseudonim „Huragan”, wpadł, nie powiem tych słów, jakie wypowiedział, ale „»Halny«, sp..., zjeżdżaj z tego terenu, bo jesteś na liście”. Weszli, znaczy ci Rosjanie, przeszli, to był 17, 18, 19 stycznia, a już w Starachowicach widocznie była władza ludowa, bo przyszedł łącznik, znaczy nasz kolega z partyzantki, stary nasz partyzant, który mnie ostrzegł, mnie i „Poraja”, żebyśmy zjeżdżali z terenu, bo jesteśmy na liście do aresztowania, bo została utworzona policja, to się nazywała powiatowa, która już zgarniała z terenu AK-owców. I my, tak jak byliśmy prawie, złapaliśmy, co tam... bo wiadomo, że nie ma przelewki, nie doznaliśmy jeszcze krzywdy wielkiej, ale czuliśmy, bo tyle było opowieści, jak z Lubelszczyzny, z Wileńszczyzny wywozili na Syberię żołnierzy Armii Krajowej, jeżeli w najlepszym razie wywozili, a w tym gorszym to znaczy: ładowali ten metr pod trawę. Zginęło tam bardzo dużo na Wileńszczyźnie żołnierzy AK, właściwie przez Rosjan, którzy nie wiadomo, w jakim szli charakterze dla nas, podobno to było zabawne, sojusz i tak dalej. I myśmy się wyładowali w Starachowicach w jakiś jadący transport, bo od razu przecież ten transport był, to już było te dwa tygodnie po wejściu tych Rosjan, więc już uruchomiona kolej była w tej części, wsiedliśmy w jakiś transport wojskowy, a wsadało się na to, że jak on się zatrzymał, tośmy tam poszli i z tymi Rosjanami, i mówią, wsiadajcie. I jechaliśmy jakimiś platformami, pojechaliśmy do Skarżyska, w Skarżysko w jakiś transport kolejowy do Końskich, i to jeszcze front było ciągle słychać, ale już bardzo odległe, i jechaliśmy w tych transportach wojskowych do Łodzi, bo to taki kierunek był ze Starachowic poprzez Końskie do Łodzi, w Końskich skończył nam się ten transport i do Łodzi dostaliśmy się, wsiadając w jakiś transport duży, samochodowy, gdzie zetknęliśmy się z innym wojskiem, takim typowo już frontowym, inaczej uzbrojonym i zachowującym się, duży transport, prawdopodobnie żywnościowy, czy tam zaopatrzenie inne, frontowe, w którym tam żeśmy się zaopatrywali wszędzie, gdzie się dało w wódkę, to znaczy w mniejszych butelkach, w jakichś nawet półlitrowych najwyżej, no i za wódkę, bo to żołnierz nie tylko rosyjski, chyba i polski byłby tak samo, brał i mówił, wysiadajcie i jedźcie dalej i dojechaliśmy do Łodzi, czy nawet przed Łodzią wysadzili nas, bo oni jechali jakoś tam inaczej, ten transport ostatni. Zetknęliśmy się z tym, że cały transport, z którym myśmy się tam zetknęli, to był amerykański, Studebakery, Chevrolety, ogromne samochody z napisem USA, na których Rosjanie krzyczeli: „ubij

skurwysyna Stalina". A potem to tłumaczyli: „Ubi...coś tam, tego, Amerykanów”. Pierwsze, tego... też chyba nigdzie nie słyszałem od nikogo, ale w tym dużym transporcie, który szedł, byli oficerowie, bo z nimi tam najwięcej się rozmawiało i byli skłonni, to mówili, że oni idą na Berlin, pobiją Niemców i będą bić Amerykanów. Dosłownie. Więc musieli być też jakoś chyba pouczani przez swoich komisarzy, czy jakieś pogadanki, dlatego że to mówili nie jak bajkę, tylko, że oni muszą, dlatego że Amerykanie dali nam, prawda, takie samochody, tyle broni, ale ciało to my jesteśmy. Dlatego my ich ubijemy. Bo my musimy iść dalej. To było też zaskakujące, no ale wtedy stwierdziliśmy, że oni są też nastawieni wcale niepokojowo do tych sojuszników, którzy ich właśnie tak odziewali, bo podobno dużo tego oporządzenia wojskowego to było amerykańskie. I w ten sposób kierowaliśmy się, w Łodzi nas przetrzymali znów znajomi, bo szedł z nami taki „Szperacz”, który był pod opieką „Poraja”, bo jeszcze w miesiącach przed jego przyjściem do nas, do lasu, czyli przed sierpniem, on do nich dotarł, zupełnie obcy człowiek, który się u nich zatrzymał, to był uciekinier z takiej grupy, co się nazywała TOT, to była organizacja budowlana, taka wielka, niemiecka, skrót był TOT, która budowała drogi i zaplecza, frontu, zawsze jak Niemcy szli do przodu, to ciągle taki TOT budował lotniska i tak dalej i tam dużo zatrudniali Polaków, branych... Niektórzy się specjalnie zatrudniali, bo byli ubrani wtedy, w mundury niemieckie i to było takie niby pół wojsko, ale bez broni naturalnie, i taki jeden tam, nie wiem, skąd się u nich znalazł, taki dezenter z tego TOTu, bo oni byli też tak koszarowani, i prowadzeni po wojskowemu, i u nich się przechowywał. I on naturalnie przyszedł do tej partyzantki, był z nami, był takim przyjacielem wielkim, i opiekunem, i opiekował się, tak jak, powiedzmy, taki przyboczny „Poraja”, który był oficerem był podchorążym. Zresztą podchorąży był umundurowany tak, jak trzeba, bo był frontowym żołnierzem w 1939 roku, zmobilizowanym, więc tam znalazł się w tych Starachowicach u znajomych studentów, z którymi był na Politechnice Warszawskiej, więc tam była taka trochę dla niego znajoma okolica. I ten „Szperacz” wprowadził nas do swojej rodziny, łódzkich, niezapomniana rzecz, bo zetknęliśmy się z bied... z ludnością miejską łódzką. Wprowadził nas w jakieś takie wielki ten zasób, przecież Łódź nie była zniszczona nic, więc do tego takiego dużego domu, w którym była duża rodzina. Taka jakaś siostra tego „Szperacza”, miała tam męża i dzieci no i te dzieci nie miały gdzie spać, a nas przyszło trzech, bo ja, „Pora” i ten „Szperacz”. No i musieliśmy spać tam gdzieś, tego... Naturalnie oddali nam swoje łóżka, a dzieciaki, których było dwoje, spały w szufladach z takiej wielkiej szafy, które się wyciągało na noc, i te dzieci, bo to były małe dzieci, taki drobiazg, spały w tych szufladach. A starzy, jedno spało w szafie, a drugie gdzieś tam. I tam przez parę dni byliśmy, znów na utrzymaniu i pod dachem ludzi łódzkich, i on nas znów wyprowadził, i poszliśmy do Zduńskiej Woli, to jest też kilkanaście kilometrów, nie powiem ile. Ale chyba ze dwadzieścia kilometrów od Łodzi, tam już szliśmy na piechotę. Z Łodzi to już był teren wyzwolony jak gdyby i inne już obyczaje, i dużo wojska radzieckiego, kręcącego się, ale nie frontowego, bo już zaplecze, i w tej Zduńskiej Woli, to było miasto, z którego jak gdyby pochodziła rodzina Witebskich, bo zarówno mama Witebska, jak i ojciec, i Zdzisiek się chyba tam rodził, i tam mieszkała jeszcze rodzina tych Witebskich. Oni byli... jak tacy tkacze się nazywali, co prowadzili taką rzemieślniczą... Takie zaplecze tkaczy. W każdym razie to oni byli takimi tkaczami, którzy nie w fabryce pracowali, tylko w takich samodzielnych zakładach. To miało taką swoją nazwę, takich prawie rzemieślniczych.

Piotr Rachtan: No więc...

Zdzisław Rachtan: Manufaktury, tak? To było jeszcze mniej niż manufaktura, to już była lepsza organi... W każdym razie to byli ludzie pracy, ale bardzo przyzwoita rodzina. Ten ojciec Krystyny pochodził stamtąd i mama Krystyny też.

Z tym, że mama pochodziła z inteligencji miejscowej, a ojciec, czyli Witebski, był żołnierzem w 1920 roku, znaczy w wojnie bolszewickiej, i po wojnie o był młody tam człowiek, dwudziestoparoletni, który w tych latach 30. pracował w policji, pracował w różnych wojewódzkich komendach, do których był przenoszony, był specjalistą od administracyjno-finansowych zagadnień w poszczególnych jednostkach, podobno bardzo cenionym, bo gdzie był nieporządek w komendzie wojewódzkiej, to tam na parę lat wszedł Witebski, ostatnie przenoszenie to było z Nowogródka do Torunia i w Toruniu ich wojna została. A tak to przenosili się od Kielc, gdzie się Krystyna urodziła, to już jako córka policjanta, tak przechodzili poprzez Brześć Litewski Nowogródek, Grodno, Warszawę, bo w Warszawie byli chyba pięć lat, i potem byli w Toruniu, ostatnie lata, 1939 rok to byli w Toruniu. Ojca nie było, bo wyszedł z policją warszawską, bo pracował w Warszawie, wyszedł i był internowany w Rumunii, i wrócił w 1940 roku, bo to była taka pamiętna wymiana jakaś z Rumunami, że Rumuni chcieli się chyba pozbyć tych, których musieli żywić, bo byli w obozach internowanych, nie byli jeńcami, ale internowanymi, więc tak samo trzymeni w obozach, ale musieli być na żywienie, więc chętnie oddawali Niemcom, a Niemcy ich przyjmowali, takich, którzy się zgłaszali, że chcą wrócić do Generalnej Guberni, a więc pod własną już, czystą okupacją, no i on wrócił, to rok był w tej Rumunii i wrócił na jesień w 1940 roku, i potem pracował w Starachowicach w Urzędzie Miasta. Dwa lata mieliście do czynienia z dwoma jakby skrajnymi... też ja nie mówię o Niemcach oczywiście, natomiast mieliście do czynienia z dwoma skrajnymi jakby konkurentami to może nie, ale rywalami, czyli z komunistami oraz Rosjanami później, a także z NSZ-em. I to są takie dwa konfliktowe obszary, które są dość interesujące, i one są w gruncie rzeczy mało odtądane. Komuniści was bardzo często oskarżali, „Ponurego”, szczególnie „Ponurego”, o to, że rozwalił tam jakichś GL-owców. Czy coś mógłbyś na ten temat opowiedzieć? No więc jeżeli chodzi o zgrupowanie „Ponurego”, a już bliżej to później o pierwsze zgrupowanie „Nurta”, to muszę powiedzieć, że w ciągu roku 1943, to znaczy pierwszym, kiedy był tylko „Ponury”, a „Nurt” był ten drugi, było kilka spotkań, ale takich, powiedzmy, za wyjątkiem tej sprawy z... nie wiem, ale ja ją opowiadałem, że wywoziłem... Bo to mówię o osobistym moim zetknięciu się. To była taka sprawa, że grupa podająca się w rezultacie w takiej pierwszej rozmowie przez tego, który chciał wiedzieć, kto jedzie, a ja jechałem na wozie z bronią, która miała być przeznaczona, bo to jest późny listopad, początek grudnia, miała jechać do magazynowania na okres zimowy, ponieważ ludzie wychodzili bez broni długiej, bo oni mogli, bo mieli konspiracyjnie przezimować w jakimś tam miejscu, na tak zwanej melinie, no to było to jedno takie spotkanie, któraś grupa się podała... „Tank”, nimi dowodzący, bo tak się przedstawił, osobna historia, o której mógłbym mówić, ale to właściwie już nie warto, bo to są stare dzieje, że był następnie w Toruniu w latach pierwszych powojennych szefem bezpieczeństwa. No więc to właściwie jest koniec listopada, początek grudnia [1944 r.], kiedy my kwaterujemy w lesie pod Szczytnikiem, to była góra, się nazywała Skoszyn, górka taka w paśmie Jeleniowskim, a wyższy szczyt, który był, to był Szczytniak. I tam mieliśmy takie obozowisko, niby prymitywne, ale takie trochę podobne do wigwamów, tych Indian amerykańskich czy w ogóle amerykańskich, że z żerdeń, postawionych wysoko, większej długości, to znaczy około takich 3 metrów, z żerdeń zrobiony taki trójkąt, w środku się paliło ognisko, a całość była okryta gałęziami jodłowymi, bo tam jeszcze duży fragment jodeł ze starymi wielkimi gałęziami, więc to był taki okryty... jedna strona była otwarta, a trzy strony może nie symetrycznie, ale tworzyły razem takie miejsce, pośrodku się paliło ognisko, korzystając z dobrego zaopatrzenia w suche drzewa, tak że nie było tu wielkiego dymu, i to były nasze takie domy, po których tam było się w czterech, po pięciu, różnie to było, bo część zawsze na jakimś ubezpieczeniu była, to na wyjazdach po żywność, to gdzieś tam na jakichś innych wyjazdach, ale zawsze trzech-czterech było przy takim ognisku, kładło się i leżało, przewracając się z boku na bok, jak się jeden za bardzo przygrzał, to się ten drugi przewracał. To było bardzo prymitywne, to była taka... ten okres takich kilku tygodni,

takiego zimowania pod takimi namiotami, był dosyć uprzykrzony, mówiąc tak elegancko. I wyjeżdżałem z bronią, konie były z jakiegoś tam dworu, bośmy na ogół nie trzymali, tylko były z takich sąsiednich dworów, gdzieś tam się na parę dni brało konie, żeby się nie bardzo przemęczały, no i były używane do różnych celów, bo nie było tego transportu już, swojego taboru nie mieliśmy, tak jak zawsze poprzednio. A druga sprawa, bo to tak się wiąże, to ludzie wychodzili na meliny. „Ponury” wypuszczał tak po czterech, no a najwyżej dziesięciu, żeby nie było, powiedzmy, jakiegoś zagęszczenia, że wychodzi ktoś tam z lasu i zanim się rozproszy, no to tworzy jakąś grupę. Rzec się odbyła niedaleko Słupi, więc tak nawet kierowali się na Słupię i stamtąd różnymi środkami na kierunek na Ostrowie, Opatów, Starachowice, w odwrotną stronę trochę na Kielce.